Małgorzata BORKOWSKA OSB

KOBIECA DROGA DO ŚWIĘTOŚCI

Dosyć trudno jest zdefiniować dokładnie różnicę między męskim a kobiecym sposobem podążania drogą do świętości, a to w dużej mierze dlatego, że przez wiele wieków zagadnieniem tym zajmowali się w Kościele prawie wyłącznie mężczyźni; [...]. Mnóstwo jednak kobiet, tak w świecie, jak i w zakonach, nie zaprzątało sobie głowy teorią i nawet jeśli szczerze wierzyły w męską wyższość, same realizowały ten sposób dążenia, do którego zostały stworzone – ze znakomitym skutkiem.

Na początku tych rozważań należałoby przyjąć jakąś definicję świętości w ogóle, gdyż trudno mówić o drodze bez określenia celu. Na podstawie dotychczasowego rozwoju myśli ascetycznej i pewnych ustalonych już skojarzeń nasuwa się nam tu obraz góry, na której szczyt, wyobrażający świętość, prowadziłyby dwie drogi: jedna kobieca, druga męska. Obraz ten jednak jest uproszczeniem, które może tyle samo wyjaśnić, co zagmatwać. Po pierwsze, nie „świętość" jest celem, tylko Bóg. Po drugie, świętość jako cecha człowieka nie jest czymś statycznym, ale dynamicznym: rozwojem, drogą właśnie, a nie raz na zawsze przyjętą posągową postawą. I wreszcie, świętość jest celem istotnym (choć tak rzadko osiąganym w pełni) wszystkich wielkich religii. Należy więc, jak wspomniałam, przyjąć jakąś chrześcijańską definicję świętości, aby móc zastanowić się, czy na drodze do niej ujawniają się jakieś różnice akcentów i stylu między kobietami a mężczyznami.

Chrześcijaństwo jest drogą do Ojca przez Syna w Duchu Świętym; niezależnie więc od płci, świętość chrześcijańska to usilne podążanie tą drogą. Dla kogo dążenie do Ojca przez Syna w Duchu Świętym nie jest ubocznym aspektem życia, ani tym bardziej aspektem zgoła pomijanym, ale rzeczą pierwszej wagi, normą całego działania, ten znajduje się, wedle potocznej terminologii, na drodze do świętości. Na tej jednak wspólnej drodze zaznaczają się oczywiście między ludźmi różnice, wynikające z odmienności darów i talentów, a część tych różnic wynika właśnie z odmienności płci. Pochodzą one po prostu z odmienności psychofizycznej, która rzutuje na sposób podchodzenia do sprawy, punkt widzenia itd.

Dosyć trudno jest jednak zdefiniować dokładnie tę różnicę między męskim a kobiecym sposobem podążania drogą do świętości, a to w dużej mierze dlatego, że przez wiele wieków zagadnieniem tym zajmowali się w Kościele prawie wyłącznie mężczyźni. Ci zaś nie tylko rozumieli (a więc także opisywali) jedynie styl własny, ale nadto każdą stwierdzoną w praktyce duszpasterskiej różnicę traktowali jako kobiecy błąd, wymagający korekty. Zdołali to nawet

wmówić tym nielicznym kobietom, które także na ten temat pisały. Inaczej mówiąc, przez wieki usiłowano narzucać kobietom męski model świętości. I nawet jeśli „płeć słabsza" wybuchała takim fajerwerkiem świętości czysto kobiecej, jakim była Teresa z Avili, przedstawiciele męskiego monopolu potrafili ją zaakceptować tylko za cenę dopatrzenia się w niej cech męskich. „Teresa od Jezusa jest mężczyzną, i to ze wszystkich najgodniejszym noszenia brody" – usprawiedliwiał się pewien hiszpański biskup, gdy mu zarzucano, że tej „kobieciny" w czymś usłuchał. W tej sytuacji, której paradoksalność dopiero niedawno dostrzeżono, nie tylko przez wieki pozwalałyśmy sobie przyprawiać brodę, ale do dzisiaj z trudem potrafimy określić, na czym życie bez brody polega (przynajmniej w teorii).

W praktyce jednak natura przez wieki robiła swoje, jeśli jej tylko pozwalano. Ów typ oschłej zakonnicy, chodzącej reguły, która zamiast ludzkich uczuć ma paragrafy – typ straszący powszechnie w naszej literaturze, nie bez oparcia w faktach – był skutkiem formowania Bogu ducha winnych kobiet wedle męskiego wzorca świętości: odebrano im to, czym były, ale tego, czym z natury nie były i tak nie udało się z nich zrobić, więc powstawały karykaturalne hybrydy. Wiele jednak kobiet, żyjących zarówno w zakonach jak i poza nimi, nie zaprzątało sobie głowy teorią i nawet jeśli niektóre szczerze wierzyły w męską wyższość, same realizowały ten sposób dążenia do świętości, do którego zostały stworzone – ze znakomitym zresztą skutkiem. Zanim przejdziemy do próby opisu czy ilustracji tego sposobu, trzeba zrobić dwa zastrzeżenia. Po pierwsze, nie będziemy zajmować się tutaj całokształtem natury kobiecej z jej specyficznymi trudnościami włącznie, ale jedynie kobietą w drodze do świętości, i to z racji szczupłości miejsca wyłącznie aspektem pozytywnym. Owe „typowo kobiece wady", o których tyle już napisali męscy moraliści, trzeba będzie z konieczności pominąć, tak samo jak wady i cnoty męskie. Po drugie, rozróżnimy i omówimy kolejno świętość czynną i świętość bierną. Przez świętość czynną będziemy rozumieć świadome dążenie kobiety do zjednoczenia z Bogiem, przez świętość bierną zaś jej pośmiertną szansę na to, że Kościół uzna oficjalnie wyniki jej pracy. Świętość czynna zależy od jej współpracy z łaską; świętość bierna od warunków psychologiczno-historycznych i pojęć otoczenia. Ta pierwsza jest dla niej istotą życia – ta druga jest jej zupełnie obojętna (zajmuje tylko historyka).

I. ŚWIĘTOŚĆ CZYNNA

1. DO OJCA

Droga do świętości zaczyna się od podstawowego wyboru kierunku; wybór ten w niektórych przypadkach, nie zawsze, przybiera formę intensywnie przeżytego nawrócenia. Bywa to nieraz nagły zwrot od życia w grzechu habitual-

nym do świętości: tak wśród pierwszych egipskich pustelników znalazło się kilku byłych bandytów, tak nawrócili się Augustyn i Małgorzata z Kortony. Ale zdarzają się też nawrócenia mające całą wartość podstawowego wyboru, dokonywane z pozycji nie grzechu, lecz życia pobożnego i przykładnego. Tak właśnie po dwudziestu latach spędzonych w klasztorze nawróciły się Teresa z Avili i Gertruda z Helfty. O tej ostatniej, jako obecnie mniej znanej, chciałabym tu opowiedzieć.

Gertrudę oddano do klasztoru jako czteroletnie dziecko. Była to druga połowa XIII wieku i prawo kościelne dopuszczało jeszcze takie oblacje, zwłaszcza jeżeli dziecko po dojściu do lat stosownych potwierdziło decyzję rodziców. Gertruda, jak się zdaje, nie miała z tym potwierdzeniem żadnych problemów. Wychowywała się w szkole klasztornej i chłonęła przede wszystkim wiedzę, której tam udzielano, a której nie otrzymałaby nigdzie indziej. Ten jej zapał do nauki jest też jedyną konkretną rzeczą, jaką zapisano o jej młodości: towarzyszyło mu poważne usposobienie, które niewątpliwie ułatwiło jej, po przejściu ze szkoły do samej wspólnoty, harmonijne łączenie zakonnych obowiązków z dalszymi studiami. Co czytała? Jedyny zapis brzmi, że „w gramatyce już była biegła", co w przekładzie na dzisiejszy język oznacza dużą znajomość literatury, ale raczej literatury świeckiej, a więc: historycy starożytni, może później także poezja, ówczesne namiastki nauk przyrodniczych... Było to piękne i kulturalne życie, i Bóg niewątpliwie jakoś nad nim królował, lecz z oddali. Gertruda miała 25 lat, kiedy nastąpił przełom i Bóg stał się nagle nie właścicielem domu, w którym ona zajmowała się cnotliwie własnymi sprawami, ale Tym, na którym odtąd koncentrowała się cała jej uwaga. Stał się naprawdę Kimś, i to Kimś umiłowanym.

Rzuciła się wtedy do czytania Pisma świętego, którego widocznie wcześniej za dobrze nie znała. Porównanie ze św. Hieronimem nasuwa się tu samo, ale od razu też uderzają różnice. Św. Hieronim narzucił sobie studium Biblii przez rozum (oświecony wiarą), ale serce ciągnęło go nadal do prozy Cycerona i trzeba było gwałtownego uczuciowego kryzysu, by się ten problem rozwiązał. Gertruda dopiero zapragnąwszy całym sercem bliskości Boga, zaczęła wczytywać się w Jego słowo. Nie czytała więc nigdy Pisma świętego dla celów, jak byśmy dziś powiedzieli, naukowych (w tym i teologicznych), kulturalnych czy w innej jakiejś bezosobowej intencji: czytała je jako słowo Umiłowanego. Oczywiście przy swojej inteligencji i zdolnościach szybko zdobyła wielkie obycie z jego tekstem: biograf twierdzi, że cytaty z obu Testamentów miała zawsze na podorędziu i że kompilowała dla sióstr komentarze zebrane z pism Ojców Kościoła. Pozostała więc nadal intelektualistką, dla której praca umysłowa jest czymś normalnym, potrzebą i obowiązkiem zarazem, ale nawróciła się zdecydowanie od pobożności bezosobowej do osobowej.

I nie ma dla kobiety innej drogi. Kobieta nie może, a w każdym razie nie może bez wynaturzenia się, uprawiać teologii w sposób bezosobowy. Dla wielu

mężczyzn jest to, jak się zdaje, możliwe stadium przejściowe. Także i oni nie mogą na nim skończyć, gdyż droga ich nie prowadziłaby już do Ojca, tylko do bezosobowej abstrakcji; a dzieła teologiczne, które nie wyrastają z modlitwy, nie mają i tak żadnej wartości. Lecz właśnie to rozprawianie o Bogu tak, jakby On tego nie słyszał, albo redukowanie Go do „religijnych przeżyć", na każdej drodze do świętości jest niebezpieczne, a na drodze kobiecej jest po prostu niemożliwe. Czasem odnoszę wrażenie, że Bóg stworzył kobietę po to, aby mieć pewność, że będzie kto miał mówić do Niego „Ty".

Droga do Ojca nie jest bowiem ani drogą do „zbawienia", ani drogą do „doskonałości", ani też drogą do „świętości" pojętej jako cecha ludzka, którą można nabyć lub nie; jest właśnie drogą do Ojca, który świat i ludzi stworzył, który sam jeden wie najlepiej, po co to zrobił, i który takie, a nie inne prawa nadał temu światu. Trzeba więc przede wszystkim zrozumieć, że się jest w Czyimś świecie, w Czyjejś dłoni. Kobiecy sposób podążania drogą do świętości nacechowany jest od pierwszego momentu świadomością tego stanu rzeczy. Bardzo trudno jednak jest to wyjaśnić, gdyż podstawowe skojarzenia są z reguły do wyjaśnienia trudne. Te same słowa mogą znaczyć co innego, zależnie od tego, kto je wypowiada. Miałam okazję doświadczyć, że nawet w kontekście teologicznym, jeżeli mężczyzna mówi o „hierarchii wartości", kojarzy mu się to z abstrakcyjną tabelą; gdy słów tych używa kobieta, rozumie przez nie w sposób zupełnie oczywisty prymat Boga Żywego. Ileż to razy teologowie i moraliści dyskutują długo na temat, który z punktu widzenia kobiecej logiki jest zupełnie jasny, byleby podejść do niego mniej „naukowo", a bardziej osobowo: rozważyć nie przesłanki teoretyczne, ale kto tu i przed Kim stoi. Na przykład ostatnio trwa wielki spór o sens i celowość misji; może potrwać jeszcze do końca epoki, która go zrodziła, i nie przynieść żadnych konkretnych skutków, póki toniemy w bezosobowej terminologii: „misje", „kultury", „struktury", „tożsamości" – a nie myślimy o tym, że to Ojciec mówi do swoich dzieci przez pośrednictwo innych swoich dzieci. Cała reszta to kwestie techniczne.

2. PRZEZ SYNA

Jezus Chrystus jest dla nas wszystkich Zbawicielem i Nauczycielem: „Nazywacie Mnie Panem i Mistrzem, i słusznie mówicie, bo nim jestem". Otóż ten wspólny Pan i Nauczyciel jest nadto dla świętości kobiecej przedmiotem miłości tak wyłącznej i tak międzyosobowo pojętej, że jedynym ludzkim tytułem, który taką więź w przybliżeniu wyraża, jest tytuł „Oblubieńca". Niezależnie od tego, do jakiej roli w społeczeństwie i w Kościele dana kobieta jest powołana, jej droga do świętości prowadzi przez taką właśnie miłość. Ojcowie Kościoła nazywali „sponsa Christi" tylko dziewice Bogu poświęcone, jak gdyby ziemski mąż mógł Boga zastąpić lub przesłonić. W rzeczywistości chrześcijańskie dzie-

wictwo jest wprawdzie dla kobiety szczególną szansą oddania się oblubieńczej miłości Boga, ale z takiej miłości wyrasta kobieca świętość w każdym stanie, nawet jeśli sama kobieta tego terminu nie rozumie, nie używa. Wszystkie cechy takiej miłości muszą się w niej odnaleźć: pełne oddanie siebie, gotowość na wszelkie konsekwencje, dzielenie losu z Umiłowanym, zgoda na rozszerzenie miłości do Niego na Jego dzieci i zarazem zintegrowanie wszelkich ziemskich miłości w tej jednej najwyższej, która je porządkuje, potęguje i przemienia w siebie.

Przypomnijmy tutaj inną mało znaną postać: błogosławioną Kolumbę. Była benedyktynką w klasztorze lwowskim pod koniec XIX wieku. Wszechstronnie uzdolniona, tryskająca przy tym energią i ogólną życzliwością; bardzo wcześnie objęła rządy w zgromadzeniu: najpierw jako zastępczyni staruszki ksieni, później jako jej następczyni na tym urzędzie. Przez trzy lata po jej elekcji cały Lwów nie mógł się nowej ksieni nachwalić. Wiosną 1900 roku nieuczciwy stolarz, zatrudniony przy klasztorze, rzucił na nią kalumnię, od której zawrzało w mieście. Dziś już trudno zrozumieć pruderię tamtych lat i zasięg ówczesnej dulszczyzny; trudno nawet w to uwierzyć, ale jest faktem, że wystarczyło jedno nieudowodnione posądzenie, żeby od oczernionej odwróciło się całe społeczeństwo, łącznie z bardzo zgorszonym klerem i z własnym przerażonym zgromadzeniem. Lwowskie batiary śpiewały pod klasztorem kuplety o amorach siostry Kolumby, ją zaś samą arcybiskup Bilczewski (też skądinąd kandydat na ołtarze) zdjął z urzędu i wysłał do Rzymu na śledztwo. A chociaż tam oskarżenia okazały się bezzasadne, nie zgodził się absolutnie na jej powrót: w oczach społeczeństwa była skompromitowana, wypadało więc sprawę jak najszybciej pokryć niepamięcią. W ten sposób w ciągu dosłownie kilku tygodni Matce Kolumbie zawaliło się całe dotychczasowe życie, a pozostawała tylko świadomość przerażającej krzywdy.

Z początku próbowała się bronić, ale bez skutku. Ileż osób na jej miejscu uznałoby, że w takim razie nic już nikomu nie są winne, nawet Bogu; że skoro ich służba została odrzucona, mają prawo spędzić resztę życia na lizaniu ran i na trosce o własną wygodę. Ona zaś rozpoznała swoją nową sytuację jako wezwanie do udziału w cierpieniu Chrystusa wyszydzonego; dookoła zaś widziała mnóstwo innych cierpień i potrzeb ludzkich. Zajęła się w Rzymie katechizacją ubogich dzieci, a wkrótce zetknęła się z tragiczną sytuacją bezdomnych młodych robotnic. Otworzyła więc dla nich „dom rodzinny". Wkrótce przyłączyły się do niej towarzyszki i tak powstało nowe zgromadzenie pod nazwą Benedyktynek od Miłosierdzia. Umierając w roku 1926, Matka Kolumba zostawiła to zgromadzenie już oficjalnie zatwierdzone i kwitnące.

Konsekwentna miłość do Ukrzyżowanego może więc prowadzić do kompletnej klęski; ale niezależnie od tego, czy taka klęska okaże się ostatnim epizodem ziemskiego życia, czy też wstępem do nowej jego fazy, istotą świętości jest wykorzystanie jej do wzrostu miłości. A wtedy z takiej męki, jak z bólu

rodzenia, płynie afirmacja życia i rozlewa się nowe dobro. Otoczenie okazuje się jakby dziećmi, które taka kobieta rodzi dla Pana. Będąc niewątpliwie przedmiotem Jego miłości, stają się one i jej serdecznie bliskie. Matka Kolumba, straciwszy wszystko, oddała się potrzebom ludzi, których wokół siebie w nowej sytuacji znalazła: i nie tylko potrzebom z rzędu tzw. wzniosłych, ale tym najdrobniejszym, codziennym, których cierpliwe zaspokajanie kumuluje się, tworząc po jakimś czasie atmosferę odprężenia i bezpieczeństwa, atmosferę rodzinnego domu. Samo dostrzeganie takich potrzeb jest jednym z typowo kobiecych talentów; gotowość do wzięcia troski o nie na siebie jest sekretem macierzyństwa; macierzyństwo w takiej czy innej postaci jest konieczną konsekwencją miłości kobiety do Chrystusa. I mógłby ktoś powiedzieć: rozmieniła się na drobne; zamiast we Lwowie świecić talentami i intelektem, formować duchowo galicyjską inteligencję i dawać swój wkład w przygotowanie społeczeństwa do niepodległości, ściąga teraz w Rzymie z mostów niedoszłe samobójczynie i dba o to, żeby jakaś wrzaskliwa Giovanna czy Paolina chodziła w czystej koszuli. Tymczasem dla niej każda spotkana istota ludzka była już dzieckiem jej bólu i jej miłości do Chrystusa, a tym samym kimś uprawnionym do całej jej uwagi i posługi. Chrystus jest Oblubieńcem wymagającym, ale właśnie świętość nie liczy stawianych sobie wymagań, nie robi rachunku zasług i nie dobiera sobie pól działania według ludzkich preferencji: przyjmuje takie, jakie od Chrystusa dostała.

3. W DUCHU ŚWIĘTYM

Bardzo często używamy słowa „miłość" tak, jakby to było jakieś pojęcie oderwane albo jakieś bezosobowe zjawisko, jak zorza polarna czy osmoza. Tymczasem Miłość pierwotna, prawzór wszelkiej miłości, jest Osobą: Duchem Świętym, Miłością Ojca i Syna. A wszelka ludzka miłość jest postawą osoby wobec osoby. Ducha Świętego, który mówił przez proroków, kojarzymy zwykle z dziedziną intelektu i dopatrujemy się Jego wpływu tam, gdzie ma miejsce jakiś szczególny przypływ świętej wiedzy i zrozumienia. Ale to tylko jeden aspekt sprawy. Pewność Jego działania można mieć dopiero tam, gdzie ono się przejawia także i w ludzkiej dobroci.

Tu oczywiście narzuca się myśl o Ludwice de Marillac. Jej refleksja teologiczna skoncentrowana była w dużej mierze na tajemnicy Ducha Świętego, a jej życie modlitwy było nieustanną troską o pełne otwarcie się na Jego działanie. Wychodząc od słów Chrystusa „Pożyteczne jest dla was, abym odszedł, gdyż jeśli nie odejdę, Pocieszyciel nie przyjdzie" Ludwika potrafiła modlić się, by Chrystus odebrał jej nie tylko odczuwalną pociechę swojej obecności, ale nawet w jakimś sensie i samą obecność, jeżeli to jest warunek ukochania Go już nie cząstkową ludzką miłością, lecz w Duchu Świętym.

Zauważmy przy tym, że najwyraźniej nie łączyła działania Ducha Świętego z odczuwalnymi uniesieniami! Nie prosiła Go nigdy o znaki i cuda. Nie zależało jej na przejawach, przykrojonych do ludzkiej ograniczonej zdolności percepcji, ale na samej Osobie, na Bogu Żywym: niewidzialnym dla naszych krecich oczu, ale tylko dlatego, że są krecie. Dla jej wiary, która już dalszych dowodów nie potrzebowała, Duch Święty był Wyzwolicielem, którego działanie wyrwało ją z zaklętego kręgu, z prywatnego światka neurozy, i pozwoliło zobaczyć dookoła świat Boży. Przecież napisano, że gdzie Duch Pański, tam wolność.

A było to jakby przerzucenie jej z egocentrycznej orbity na teocentryczną. Wolności w tym nowym, Bożym już świecie zaznała po raz pierwszy, kiedy zdecydowała się zostać wizytatorką i zarazem instruktorką bractw miłosierdzia i ruszyła w nie kończące się objazdy po wiejskich drogach – ona, u której podmuch wiatru na twarzy wywoływał objawy alergiczne. A jednak była już wolna pomimo alergii i wszystkich innych dolegliwości, pomimo wątłych sił i bojaźliwego usposobienia. Była tak wolna, że mogła zapomnieć o sobie i zająć się – nie z nudów, nie z mody, nie dla zasług, ale ze szczerej troski – wszelką nędzą ludzką, która potrzebowała pomocy. Poddanie się Duchowi Świętemu oznaczało więc dla niej nie ekstazę, lecz czynny udział w Jego wszechogarniającej miłości. Z tego jej zauroczenia Duchem Świętym powstało zgromadzenie szarytek i całe zdziałane przez nią dobro; bo oczywiście łaska rozlewała się z niej jak z przepełnionego naczynia.

To nie znaczy, że od chwili przełomu do śmierci płynęła już bez wysiłku od jednego osiągnięcia do następnego. Pozostał nadal trud pracy nad sobą, a ofiary, których wymagał, nadal były bolesne. Niemniej Ludwika rozumiała, że jeśli ma nie stawiać przeszkód Duchowi Świętemu – przynajmniej przeszkód zawinionych – to musi wziąć świadomy udział w Jego akcji zmierzającej do jej wewnętrznego ogołocenia. Wyrzekała się więc coraz pełniej przyjemności, radości, przywiązań, takich na przykład, jak satysfakcja z tego, że ludzie dostrzegają owoce jej działalności albo że siostry stosują się do jej wskazówek. Przypisano jej zasługi komuś innemu? Opowiadała, że odnowiła w sobie postanowienie, by nie troszczyć się o to. Niech sobie ludzie myślą, co chcą, byleby tylko służono Bogu. Nie ma to przecież znaczenia, kto Mu służy. Pod koniec nic już nie miało znaczenia, tylko to, żeby dar Bożej dobroci dotarł do człowieka, do którego był zaadresowany. Osoba doręczycielki, jej ludzka sława i nadprzyrodzona zasługa schodziły do rzędu spraw nieistotnych i nikły za owym darem.

II. ŚWIĘTOŚĆ BIERNA

Spróbowaliśmy tu naszkicować kilka przykładów ilustrujących kobiecy sposób dążenia do świętości. Z konieczności musimy na tym poprzestać, ale przyjrzymy się jeszcze temu, jak się w praktyce przedstawia kobieca droga do

świętości uznanej, czyli – szanse świętej kobiety na uznanie jej oficjalnie przez Kościół za taką. Temat ten nie interesuje, jak się łatwo można domyślić, samych świętych, natomiast może zainteresować historyka i socjologa.

Otóż szanse te są niewielkie – znacznie mniejsze niż u mężczyzn. Weźmy na przykład dobrze znane pary świętych założycieli i reformatorów różnych zakonów: Benedykt i Scholastyka, Franciszek i Klara, Teresa i Jan, Franciszek Salezy i Joanna Franciszka, Wincenty i Ludwika, Ludwik-Maria i Maria-Ludwika... Pierwsza z tych par żyła w czasach, w których jeszcze nie było zwyczaju przeprowadzania oficjalnych kanonizacji, rozstrzygała po prostu ogólna opinia. Jest to para bardzo ciekawa, gdyż biograf św. Benedykta, św. Grzegorz papież, był przekonany, że jeszcze bardziej niż Benedykt miłowała Boga jego siostra Scholastyka. Nie ta jednak, która potrafiła kochać goręcej, ale ten, który napisał regułę, wpłynął na bieg historii. I jemu to, a nie jej, przysługuje z tej racji sława i tytuł patrona Europy. Może tam, gdzie ostatni będą pierwszymi, skala oceny jest inna, lecz na ziemi nieuchronna wydaje się ta właśnie, którą stosuje praktyka Kościoła. Postać męska jest bardziej widoczna, szerzej znana, lepiej nagłośniona. Ma większe znaczenie i większy zasięg działalności, w czym wydatnie dopomaga piastowany jakże często hierarchiczny urząd. Postaci kobiecej przypada rola drugorzędna, pomocnicza, wtopiona w tło. I nie może być inaczej, dopóki pytamy, co ktoś zdziałał, niż raczej: kim był. Dalsze wymienione tu pary świętych pochodzą z czasów, w których uznania czyjejś świętości dokonywano już oficjalnie; i z jednym tylko wyjątkiem (Teresa i Jan) aprobata taka wcześniej spotykała mężczyznę niż kobietę. Nieraz różnicę mierzy się w setkach lat; poza tym postać kobieca bardzo często na długo, może i do końca, otrzymuje tylko cząstkową aprobatę, jaką jest beatyfikacja.

Na przykład nie ma dotąd ani jednej kanonizowanej Polki, chociaż kanonizowanych Polaków jest już spora gromadka. Mamy, to prawda, zwłaszcza ostatnio, sporą gromadkę Polek beatyfikowanych, a to oznacza: świątobliwa, owszem, to jej trzeba przyznać, ale przecież bez większego znaczenia: dobra na patronkę dla zakonnic, szczególnie jeśli sama założyła jakieś zgromadzenie. Oczywiście, spojrzawszy na rzecz z punktu widzenia księży (a oni to przecież prowadzą na wszystkich szczeblach procesy beatyfikacyjne i kanonizacyjne), trudno się dziwić, że łatwiej im jest zauważyć świętego biskupa niż świętą akuszerkę, chyba że bohaterstwo akuszerki zajaśnieje nagle w jakichś szczególnie dramatycznych warunkach, jak było ze Stanisławą Leszczyńską. Ale jednak zdaje się, że dystrybucja oficjalnej aprobaty Kościoła dla świętości jego dzieci nie jest dobrą ilustracją zasady, że w ludzie Bożym nie urząd się liczy, tylko właśnie osobista świętość...

Niemniej ludzi dążących do świętości Bóg absorbuje zanadto, żeby się mieli zastanawiać nad tym, wedle jakiego i na ile sprawiedliwego rozdzielnika maluje się na ziemi aureole. Istotą zaś kobiecej świętości jest gotowość do ofiary z siebie. Bóg kocha i prosi o miłość: to wszystko, czego takiej kobiecie potrzeba.